Festiwalowe wspomnienia z Austin



Joanna Sokołowska-Gwizdka

W dniach 8-11 listopada 2018 roku mieszkańcy Austin i okolic, już po raz trzynasty mogli zapoznać się z najnowszym polskim kinem. Projekcje odbyły się w sali kinowej Austin Film Society (AFS Cinema, 6259 Middle

Fiskville Rd., Austin, TX). Towarzystwo Filmowe z Austin współpracuje z Festiwalem Polskich Filmów od lat, nie tylko udostępnia salę kinową, ale też poza czasem festiwalowym pokazuje retrospekcje twórczości znanych polskich reżyserów. W październiku 2018 roku można było zobaczyć filmy Andrzeja Wajdy.

Festiwal Polskich Filmów już na stałe zagościł na wielokulturowej mapie Austin i cieszy się dużym zainteresowaniem. Dzięki festiwalowi polska grupa etniczna jest widoczna, a polska kultura i historia wzbudza zainteresowanie. Publiczność, głównie amerykańska, przychodzi na projekcje przygotowana, o czym świadczą zadawane pytania podczas Q&A (*questions and answers).* Przyjeżdżją też widzowie z San Antonio, Dallas czy Houston.

Prowadzącym festiwal był Sebastian Smoliński – młody krytyk filmowy z Warszawy, który w ciekawy i pełny szczegółów sposób zapowiadał każdy film.



Filmy fabularne

Jakie filmy publiczność w Austin mogła zobaczyć podczas XIII Festiwalu? Jak co roku mamy tu dużą różnorodność tak tematyczną, jak i gatunkową. Pokazywane są filmy zarówno młodych, utalentowanych twórców, jak i uznanych polskich reżyserów. Widzowie mogli poznać nie tylko uniwersalne historie ludzkie i dramaty psychologiczne, zapoznać się ze specyfiką polskiego humoru, ale i dowiedzieć się faktów z polskiej historii, która rzutuje na współczesny odbiór świata i specyfikę polskiego kina.

Na początek dwa filmy reżysera młodego pokolenia Alexa Pietrzaka – **„Ja i mój tata”** oraz **„Juliusz”**.

Piękny film „Ja i mój tata” dotknął trudnych relacji między ojcem a synem. Dawid, 38 lat, (Łukasz Simlat) opiekuje się swoim ojcem Edwardem, 79 lat, (Krzysztof Kowalewski) z pogłębiającą się chorobą Alzheimera. Ojciec – marynarz, całe życie był w podróży i widział syna tylko kilka razy w roku. Dawid, mający już swoją rodzinę, próbuje nadrobić stracony czas dzieciństwa i młodości i odbudować relacje z ojcem. Jednak postępująca choroba, coraz bardziej ojca zabiera, trudno do niego dotrzeć, trudno wydobyć wspomnienia. Piękną i jakże dojrzałą puentą filmu, co zadziwia zważywszy na młody wiek reżysera jest, bezwarunkowa miłość. Opiekując się osobą chorą na tak poważną chorobą, która zaczyna dominować, jakże ważne jest okazywanie miłości. Te osoby są zagubione, czują, że są ciężarem dla bliskich, trzeba z nimi być i je kochać. Tak po prostu.

„Juliusz” też dotyczy relacji między ojcem i synem, jest to jednak film w innej konwencji – komedii z elementami *pure nonsensu*. Tytułowym bohaterem jest uporządkowany nauczyciel sztuk plastycznych (Wojciech Mecwałdowski). Jego głównym problemem w życiu jest jego ojciec Jan Peszek) – nieustająco imprezujący artysta-malarz. Kiedy senior przeżywa drugi zawał serca, a mimo tego odmawia zmiany stylu życia, Juliusz musi znaleźć sposób na to, by wpłynąć na jego zachowanie.

Trochę w podobnej *pure nonsensowej* konwencji był film **„Atak paniki”** w reżyserii Pawłą Maślony. Jest to wielowątkowa opowieść, w której zwykli ludzie wpadają w wir nieoczekiwanych zdarzeń, co radykalnie odmienia ich życie. Atrakcyjna autorka kryminałów na randce spotyka swojego byłego partnera. Wracające z wakacji małżeństwo wybiera najgorsze miejsca w samolocie. Nastolatek po raz pierwszy pali trawkę i przeżywa totalny odlot. Młoda dziewczyna ryzykuje, że koleżanki zdemaskują ją jako gwiazdę porno. Panna młoda z pomocą psiego psychologa rodzi na własnym weselu, a w tym czasie kelner próbuje uratować planetę. Jednym słowem komedia, w której nic nie jest tym czym się wydaje, a codzienność zamienia się w czyste wariactwo.

Aleksander Pietrzak









Relacje rodzinne pokazane zostały w pięknym i jakże prawdziwym w swym dramatyzmie filmie **„Jak pies z kotem”** w

reżyserii Janusza Kondratiuka, opartym na prawdziwej historii relacji pomiędzy braćmi Kondratiukami.

W postać Janusza Kondratiuka wcielił się Robert Więckiewicz, a w jego starszego brata Andrzeja – Olgierd Łukaszewicz. Akcja filmu zaczyna się w Kazachstanie, gdy chłopcy są mali. Potem widz stopniowo wchodzi w skomplikowane relacje rodzinne, poznaje żale z przeszłości, stosunek do rodziców, odmienności charakterów, rywalizację w tym samym zawodzie reżysera. Gdy Andrzej dostaje udaru, mimo wcześniejszych niepoukładanych relacji, Janusz decyduje się zaopiekować bratem. Obaj mężczyźni na przemian okazują sobie czułość i toną we wzajemnych pretensjach. Do tego dochodzą żony braci, ich przeżycia i charaktery – pogrążona w rozpaczy i alkoholu Iga Cembrzyńska (Aleksandra Konieczna) i zdezorientowana całą sytuacją Beata Kondratiuk (Bożena Stachura). Podczas czasu, poświęconemu bratu, Janusz równolegle pracuje jako reżyser i wykładowca w szkole filmowej. Scena ze studentami wskazuje na odmienność pokoleniową w poglądach na sens zawodu reżysera. Dla starszego pokolenia najważniejsza jest wartość artystyczna filmu, dla młodego – sprawność techniczna. Czym Andrzejowi Kondratiukowi zostaje mniej czasu, tym dla obydwu braci budowanie relacji między sobą staje się najważniejsze. Widzimy zbliżanie się i oddalanie, współczucie, tolerancję, a na końcu miłość, z której pokładów bracia nie zdawali sobie sprawy.

Skomplikowane relacje rodzinne pokazane zostały także w kolejnym filmie **„Cicha noc”** w reżyserii Piotra Domalewskiego. Jest to także film o emigracji, rozterkach z nią związanych i marzeniu o domu i rodzinie. Adam (Dawid Ogrodnik), na co dzień pracujący za granicą, w Wigilię Bożego Narodzenia odwiedza swój rodzinny dom na polskiej prowincji. Zastaje rodzinę pełną obaw, skonfliktowaną, z problemami. A to on ma ważną wiadomość do przekazania – zostanie ojcem. Polska tradycja wigilijna, przeplata tu się z nierozwiązanymi rodzinnymi problemami. Szczególną rolę do odegrania w intrydze ma jego ojciec (Arkadiusz Jakubik), brat (Tomasz Ziętek) oraz siostra (Maria Dębska). Świetny film, o bardzo trudnym rodzinnym konflikcie, tęsknocie za celem w życiu i dobrych relacjach z bliskimi.



Bożena Stachura

Kolejnym filmem pokazywanym podczas festiwalu był film nagrodzony w Cannes i entuzjastycznie przyjęty na światowych festiwalach, czyli **„Zimna wojna”** w reżyserii Pawła Pawlikowskiego.

Historia trudnej miłości dwojga ludzi, którzy nie umieją żyć bez siebie, ale równocześnie nie potrafią być razem. Wydarzenia pokazane w ,,Zimnej wojnie” rozgrywają się w latach 50. i 60. XX wieku, w Polsce i podzielonej Europie. Życie w socjalistycznym kraju powoduje, że w bohaterach rodzi się pragnienie wolności twórczej i życiowej. W tle wybrzmiewa wyjątkowa ścieżka

dźwiękowa, będąca połączeniem polskiej muzyki ludowej z jazzem i piosenkami paryskich barów minionego wieku. Film powstał na podstawie losów rodziców reżysera.

„Kler” Wojciecha Smarzowskiego wzbudził w Polsce wiele emocji. Film dotyka sprawy nadużyć w polskim kościele katolickim. Przed kilkoma laty tragiczne wydarzenia połączyły losy trzech księży katolickich. Teraz, w każdą rocznicę katastrofy, z której cudem uszli z życiem, duchowni spotykają się, by uczcić fakt swojego ocalenia. Na co dzień układa im się bardzo różnie. Lisowski (Jacek Braciak) jest pracownikiem kurii w wielkim mieście i robi karierę, marząc o Watykanie. Drugi z księży – Trybus (Robert Więckiewicz) jest wiejskim proboszczem. Sprawując posługę w miejscu pełnym ubóstwa, coraz częściej ulega ludzkim słabościom. Niezbyt dobrze wiedzie się też Kukule (Arkadiusz Jakubik), który – pomimo swojej żarliwej wiary – właściwie z dnia na dzień traci zaufanie parafian. Nad księżmi stoi arcybiskup Mordowicz (Janusz Gajos), używający politycznych wpływów przy budowie największego sanktuarium w Polsce.

Bartosz Nowacki





„Na drodze” to thriller krótkometrażowy Bartosza Nowackiego. Podczas długiej podróży kobieta zabiera autostopowicza, który od samego początku nie wzbudza jej zaufania. Kobieta czuje się

zagrożona i postanawia zabrać kolejną osobę. Pomiędzy trójką nieznajomych nawiązuje się pełna napięcia gra. Skrywane tajemnice doprowadzą do tragicznych w skutkach wydarzeń.

„Dywizjon 303. Historia prawdziwa” w reżyserii Denisa Delića to polsko-brytyjski dramat wojenny oparty na książce Arkadego Fiedlera „Dywizjon 303”.

Grupa polskich lotników bierze udział w obronie Anglii przed nalotami niemieckimi w czasie II wojny światowej. Początkowo niechętni Anglicy, widząc doskonałe wyszkolenie i odwagę młodych Polaków, pozwalają im na wzięcie czynnego udziału w walce za sterami brytyjskich samolotów. Wśród asów polskiego lotnictwa jest m.in. były wykładowca szkoły lotniczej w Dęblinie Witold Urbanowicz, który dowodzi filmowym Dywizjonem 303. Czas między lotami lotnicy spędzają w brytyjskich kantynach, gdzie zawierają znajomości z Anglikami, zakochują się i manifestują swoje przywiązanie do Polski.

Film ten został wyjątkowo dobrze przyjęty przez amerykańską publiczność. Brawurowe sceny akcji w powietrzu zrobiły wielkie wrażenie na młodych odbiorcach. Bohaterstwo polskich lotników podziałało na wyobraźnię. Studenci, którzy przyszli na film, ze względu na Polkę, dziewczynę jednego z nich – byli pod takim wrażeniem filmu, że pytali się wychodzących z kina, czy są

Polakami i się kłaniali.



Filmy dokumentalne

Debiut reżyserski Marty Prus **„Over the Limit”** to opowieść o rosyjskiej gimnastyczce artystycznej Ricie i cenie jaką musi zapłacić za sukces. Rita większość swojego życia spędza na treningach. Ma 20 lat i przygotowuje się na Igrzyska Olimpijskie w Rio de Janeiro. Trenuje od 13 lat, a od 7 lat jest wychowanką ośrodka treningowego prowadzonego przez Irinę Viner-Usmanovą, niegdyś wybitną zawodniczkę, a obecnie trenerkę i

żonę potężnego rosyjskiego oligarchy. Marta Prus planowała zrobić film o zabarwieniu politycznym, a wyszedł przejmujący dokument psychologiczny.

„Pamięć śladów”, fabularyzowany dokument w reżyserii Ignacego Szczepańskiego, powstał na podstawie autobiograficznej książki Romy King z Los Angeles **„Footsteps in the Snow”.**

W wyniku agresji ZSRR na Polskę setki tysięcy Polaków zostało deportowanych na Syberię, w tym rodzinę Romualda Michniewicza, m.in. jego kilkumiesięczną córkę – Romę, autorkę książki. Romuald, polski oficer, aresztowany przez władze sowieckie i osadzony na Łubiance, natychmiast po zwolnieniu na mocy amnestii, po układzie Majski-Sikorski, wstąpił do Armii Andersa i rozpoczął starania o odszukanie i uwolnienie swojej rodziny. Udało mu się ocalić żonę i córkę, ale na Syberii, w dalekim Bułajewie został jego ojciec Antoni i babcia Agnieszka.

Film dostał I nagrodę w kategorii najlepszy film dokumentalny na Festiwalu Filmów Polonijnych „Losy Polaków 2018” w Warszawie.



Od lewej: Łukasz Będkowski, Roma King, Sebastian Smoliński



Roma King



Roma King

Konkurs Filmów Krótkometrażowych

Od 2015 roku podczas Festiwalu Polskich Filmów organizowany jest Konkurs Filmów Krótkometrażowych. Intencją konkursu jest tworzenie forum dla niezależnych artystów i zachęcanie do pokazywania krótkich filmów powstałych na całym świecie, które w jakikolwiek sposób dotyczą Polski lub jej twórca ma polskie pochodzenie. Konkurs odbywa się w dwóch kategoriach – film animowany i film nieanimowany. Nagrody przyznało ośmiu jurorów spośród amerykańskich i polskich środowisk twórców filmowych, wykładowców i mediów. W kategorii film animowany nagrodę zdobyła Karina Paciorkowska za film **„You are overreacting”** (Przesadzasz), a w kategorii film nieanimowany

Filip Jacobson za film „**Walk”** (Spacer). Drugie miejsce zajęli Marta Magnuska za film **„The Other”** (Inny) – film animowany i Przemysław Stański za film **„Fishy Wish”** (Życzliwy pomysł) – film nieanimowany.

Program dla dzieci

W ramach programu festiwalowego jest też program dla młodych widzów. Dla dzieci w wieku 3-8 lat pokazywane były filmy rysunkowe, takie jak kultowy „Bolek i Lolek”, a starsza młodzież mogłą zobaczyć film **„Tarapaty”** w reżyserii Marty Karwowskiej. Julka ma 11 lat i chodzi do szkoły z internatem. Zaczynają się wakacje i Julka zamiast do rodziców do Kanady jedzie do ciotki do Warszawy. W tej samej kamienicy mieszka Julek i jego pies Pulpet…



Zaproszeni goście

Wśród zaproszonych gości, oprócz prowadzącego festiwal Sebastiana Smolińskiego był reżyser młodego pokolenia (urodzony w 1992 roku) Aleksander Pietrzak, reżyser filmów ”Ja i mój tata” oraz „Juliusz”. Przybyła też aktorka, która wcieliła się w rolę Beaty Kondratiuk w filmie „Jak pies z kotem” – Bożena Stachura. Widzowie mogli porozmawiać z reżyserem filmu „Na drodze” – Bartoszem Nowackim (urodzonym w 1985 roku).

Wspaniałym gościem festiwalu była pani Roma King z Los Angeles, która przyjechała na projekcję filmu na podstawie jej

książki. Rozmowa po filmie była bardzo ciekawa, widzowie wyrażali zdziwienie, że podczas wojny Rosjanie na taką skalę organizowali zsyłki polskiej ludności cywilnej na Syberię, nie zdawano sobie sprawy z tak trudnego rozdziału polskiej historii. Pani Roma King, która znalazła się na Syberii, jako kilkumiesięczne niemowlę, zapamiętała historię dzięki opowieściom mamy, która walczyła o to, aby świadectwo tego, co przeżyło tysiące Polaków w Rosji, przetrwało.



***

Organizatorem Festiwalu Polskich Filmów w Austin jest Austin Polish Society. Za organizację festiwalu odpowiedzialna była Joanna Gutt-Lehr – dyrektor Austin Polish Film Festival oraz członkowie rady dyrektorów Austin Polish Society: Margaret Meub – prezes, Angelika Firlej – wiceprezes, Art Gmurowski, Anna Hand, Magda Szatanik-Boudni, Kris Matyszewski.

Fotografie: Marek Proga

Szymon Brodziak – najlepszym na świecie twórcą

fotografii czarno-białej



Szymon Brodziak

Jesteś tym, co widzisz – to motto Szymona Brodziaka (ur. 1979 r.), autora zmysłowych, niekonwencjonalnych czarno-białych zdjęć, które zyskały uznanie i odniosły komercyjny sukces. Jego rozpoznawalny styl sprawił, że krytycy okrzyknęli go "artystycznym spadkobiercą Helmuta Newtona". Sam Brodziak nie kryje fascynacji i inspiracji twórczością legendarnego

fotografa, a jego żona June Newton, w dowód uznania dla talentu polskiego artysty zamieściła osobistą dedykację w wydanym w 2014 roku autorskim albumie "BRODZIAK One". Album miał swoją oficjalną premierę w Rzymie. Można w nim znaleźć blisko 300 monochromatycznych zdjęć podsumowujących pierwsze 10 lat zawodowej działalności Brodziaka. Album "Brodziak One", otrzymał też Złoty Medal w kategorii „książka" w międzynarodowym konkursie *Prix de la Photographie Paris*.

Szymon Brodziak, z wykształcenia ekonomista, szybko porzucił wyuczony zawód, by asystować przy sesjach mody i kampaniach wizerunkowych, będących dziś głównym polem jego działalności. Od tego czasu zdobył wiele nagród na międzynarodowych konkursach fotograficznych w Stanach Zjednoczonych i w Europie, w tym 3 złote medale na *Prix de la Photographie Paris* 2012.

W roku 2013 podczas Festiwalu Filmowego w Cannes, Fashion TV uznało go za najlepszego na świecie fotografa czarno-białych kampanii reklamowych.

W 2015 roku fotografie Szymona Brodziaka można było oglądać w berlińskim Muzeum Fotografii Fundacji Helmuta Newtona na wystawie "Newton, Horvat, Brodziak". Wystawa była olbrzymim wyróżnieniem i dowodem uznania dla twórczości Szymona

Brodziaka, który jest pierwszym fotografem z Polski i najmłodszym spośród artystów zaproszonych do współpracy przez to prestiżowe muzeum.

Kolejny rok przyniósł artyście następne sukcesy. W Stanach Zjednoczonych zdobył pierwsze miejsce w kategorii Moda w dwóch konkursach: International Photography Awards (2016) oraz w nagradzającym najlepsze zdjęcia monochromatyczne na świecie Black & White Spider Awards (2016).

Jego prace są także stale doceniane w Europie, gdzie w ostatnich latach otrzymał liczne medale i wyróżnienia w kilku edycjach międzynarodowego konkursu *Prix de la Photographie Paris*, zarówno za kampanie reklamowe, jak i projekty autorskie, w tym tytuł najlepszego fotografa reklamowego roku 2016.



Szymon Brodziak, Ballerina

12 kwietnia 2019 roku ogłoszono wyniki prestiżowego Konkursu Fotograficznego One Eyeland. Szymon Brodziak zajął w nim pierwsze miejsce, potwierdzając tym samym swoje miejsce w światowej czołówce artystów zajmujących się fotografią czarno-białą.

One Eyeland (www.oneeyeland.com) to najlepsza na rynku galeria online i zarazem społeczność internetowa, w której swoje

prace udostępniają i do której należą topowi fotografowie z całego świata. Przyznawane przez One Eyeland nagrody są szczególnie istotne dla fotografów, ponieważ w skład jury wchodzą uznani artyści z całego świata.

> *Dobre zdjęcie to takie, które wzbudza emocje, skłania do refleksji i nie pozostawia widza obojętnym – mówi Szymon Brodziak*.

I faktycznie twórczość Polaka nie pozostawiła jury (oceniającego blisko 2 000 zgłoszeń z 65 krajów) obojętnym, bo został wyjątkowo doceniony. Za swoje monochromatyczne prace (Drzewo, Żywopłot, Ballerinas, Rolls-Royce, Noti, Molo, Loop, Labirynt i Ana Portret) uzyskał aż 90 punktów (!), zdecydowanie wyprzedzając w rankingu pozostałych laureatów.

Nagroda One Eyeland to kolejny laur dla Szymona Brodziaka – jego twórczość doceniano już wielokrotnie. Jeszcze jako student otrzymał nagrodę Johnnie Walker Keep Walking Award za

> ciągłe urzeczywistnianie swoich marzeń oraz pasję wyznaczania nowych ścieżek w poszukiwaniu piękna.

Szymon Brodziak sam siebie określa mianem „visualtellera”, czyli osoby opowiadającej historie poprzez fotografie.

„Myślę czernią i bielą, patrzę w czerni i bieli i widzę kadry czarno-białe” – mówi Brodziak. A w jego wyjątkowych, monochromatycznych historiach, które są niczym kadry z nigdy nienakręconych filmów, główną rolę grają kobiety, które, jak sam przyznaje, uwielbia fotografować. To właśnie ich czarno-białe wizerunki, w zaskakujących lokalizacjach i pozach, nie pozostawiają widza obojętnym i sprawiają, że zdjęcia, które Brodziak tworzy do kampanii reklamowych same stają się dziełami o niepowtarzalnym charakterze.

Jednak dla Szymona Brodziaka ważne są nie tylko wyróżnienia, które otrzymuje za swoją twórczość, ale także dobro, które dzięki swojej pracy może szerzyć. Dlatego też nagroda One Eyeland to nie jedyny sukces artysty w bieżącym miesiącu. 5 kwietnia podczas licytacji, która odbyła się w warszawskim Domu Aukcyjnym Desa Unicum w ramach kolacji charytatywnej zorganizowanej przez Fundację na rzecz dzieci z Domu Dziecka Pod Lipami w Radymnie, czarno-biała sesja w wykonaniu Szymona Brodziaka została wylicytowana za rekordową kwotę 195 000 złotych.

Ponadto artysta stale wydaje specjalne edycje druków i fotografii oraz bierze udział w aukcjach, dzięki którym do tej pory na cele

charytatywne udało się zebrać ponad 150 000 złotych.

Prace Szymona Brodziaka można obejrzeć i kupić w jego autorskich galeriach fotografii w Poznaniu (Brodziak Gallery) i w Warszawie, a także online na stronie www.szymonbrodziak.com, gdzie znajdują się także informacje i materiały filmowe o artyście i jego twórczości.

12 czerwca 2019 r. odbyło się spotkanie autorskie z Szymonem Brodziakiem w **Vivid Gallery** we Wrocławiu.Tematem przewodnim była fotografia jako dzieło sztuki i próba oceny ważności poszczególnych jego warstw: tematu, kadru, światłocienia i wyzwań logistycznych i technicznych.

Prace Szymona Brodziaka nadal można będzie obejrzeć w Vivid Gallery. Część z nich weszła do stałej ekspozycji.

(materiały prasowe)

Galeria



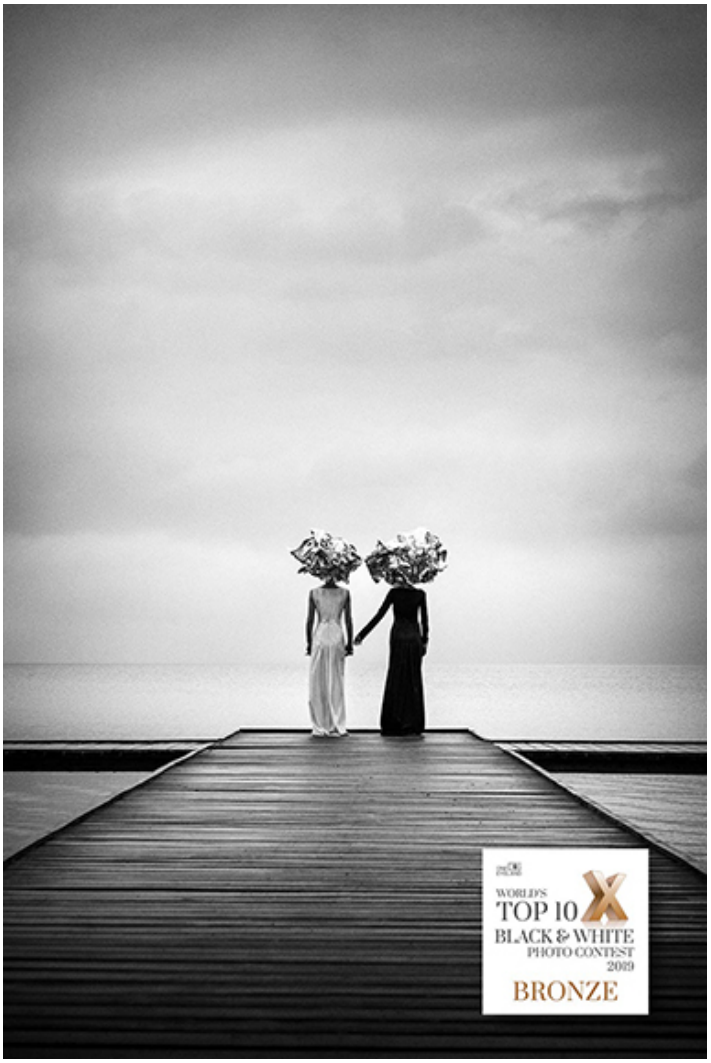
Szymon Brodziak, Vivid Gallery



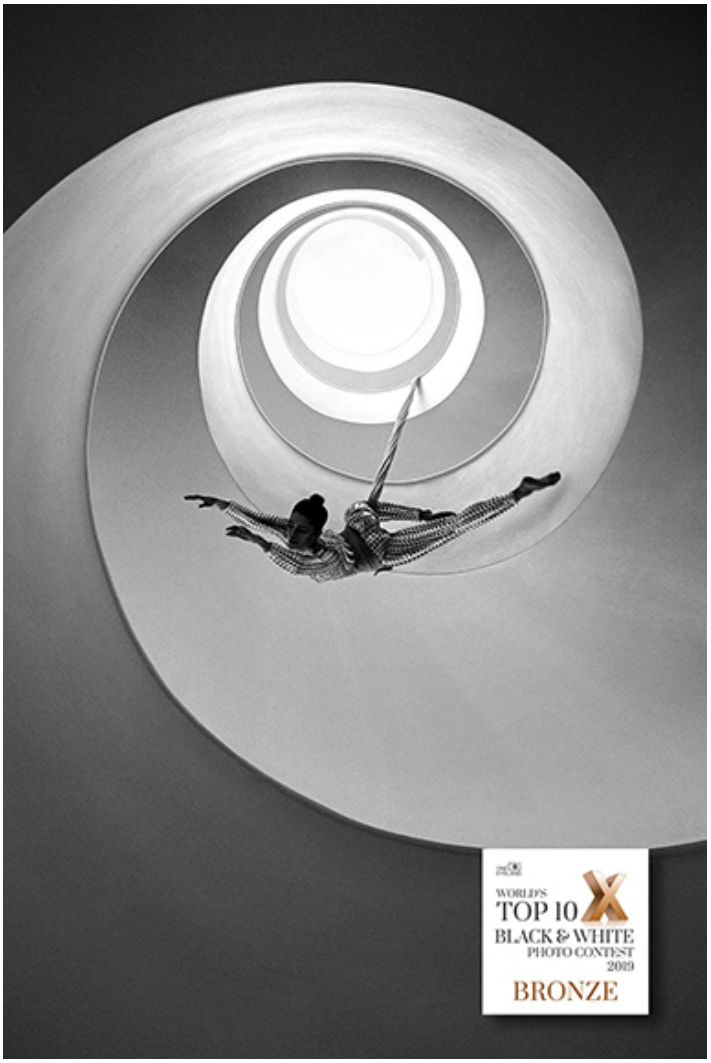
Szymon Brodziak, Vivid Gallery



Szymon Brodziak, Vivid Gallery



Szymon Brodziak, Molo



Szymon Brodziak, Loop (Pętla).



Szymon Brodziak, Vivid Gallery



Szymon Brodziak, Vivid Gallery

Z pustych serc

w próżną formę



fot. cgtrader.com

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Nie raz już zastanawiano się nad problemem twórczego pisania poza krajem, z dala od polskiego społeczeństwa. Nie chodzi o czasowe pobyty pisarza za granicą, ale o Polaków stale

przebywających poza ojczyzną. Wystarczy spojrzeć na same tytuły artykułów i antologii, aby zdobyć niezłą orientację w materii: „Mowa bez ziemi", „Ryby na piasku", „Opisanie z pamięci", „Cena wolności" itp. Te nagłówki dostatecznie mówią o anormalnych warunkach piszącego na emigracji w ojczystym języku. O ile jest zrozumiałe i naturalne, że pisarze wyrzuceni z ojczyzny przez kataklizm historyczny i nie mogący z powodu sytuacji politycznej do niej powrócić, piszą dalej, kontynuują swoje powołanie artystyczne czy naukowe, o tyle dorastająca za granicą młodzież jest w innej sytuacji. Kiedy młody człowiek podejmuje pióro, nawet we własnym kraju w normalnych warunkach, robi krok pełen ryzyka. Jest on szansą, a może się stać wielką przygodą. Debiutant musi opanować narzędzia swego fachu, umieć przekonać do siebie kolegów, znaleźć odbiorców. Jeżeli ma talent, czuje gust czytelnika, to startuje pod pomyślnymi znakami. Debiut wśród obcych w mało znanym otoczeniu bez zapewnionych czytelników jest zupełnie inną propozycją.

Takie trudne początki miała grupa młodych Polaków, która w latach pięćdziesiątych znalazła się w Anglii, precyzyjniej: w Londynie. Na przykładzie ich terminowania, najpierw w Kole Polonistów, a następnie w redakcjach pism studenckich „Życie Akademickie", „Merkuriusz Polski" i „Kontynenty" można obserwować ich początki. Trzeba na wstępie zaznaczyć, że byli oni dziećmi, kiedy wybuchła wojna, najstarszy z nich liczył

czternaście lat. Języka polskiego douczali się w sowieckich posiołkach, w obozach wojskowych, na pracach rolnych. Nie była to szkoła najlepsza.

Równocześnie poddani byli interferencji języków obcych z angielskim na czele, który był nie tylko językiem społeczeństwa, z którym związali swoje losy, ale zwycięskim medium, które podbijało wszystkie kontynenty stając się bezspornym językiem światowym.

U tych młodych, mimo rozległych perspektyw, jakie ukazywał język angielski, zwyciężył jednak język polski, niedouczony, taki jakim władali, jako język pierwszy i kulturowo decydujący. On się stał materią ich pisarskiej twórczości. Układając po polsku pierwsze wiersze czuli, że weszli na niezmiernie uciążliw, ale właściwą i jedyną drogę.

Normalną koleją spraw, powinni się byli uczyć od swoich starszych kolegów o przedwojennym dorobku i kontynuowanej twórczości, a nie brakowało ich w stolicy Wielkiej Brytanii, w której schronił się legalny rząd i powstały liczne placówki dające poczucie namiastki państwa, również instytucje kulturalne jak uniwersytet, dynamiczna biblioteka, teatr, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, bogata prasa i szereg domów wydawniczych. Logiką nowego pokolenia nie poszli w ślady starszych, bo kierunek wytyczony przez nich nie był dla

debiutantów atrakcyjny. Młodzi czuli się inni, mieli tylko ograniczoną pamięć ojczyzny, a już byli po części z Zachodem zżyci.

Z początku funkcjonowali jako dziwny fenomen, *curiosum* zgoła na polskiej scenie. Ale w miarę jak szli dalej własną drogą, nie potrzebowali wskazań innych, odezwały się głosy niezadowolenia i cenzury. Krytykowano szczególnie ich twórczość poetycką.

Poezja współczesna nie ma czytelnika. Trudno jest powiedzieć czy to z winy samych poetów, którym się zarzuca odejście od człowieka, czy należy zapisać to na karb elitarności poezji wymagającej zbyt wiele od odbiorcy, czy wreszcie winić ducha czasu objawiającego się w innych mediach. Można oczywiście kroczyć wśród epigonów i „podobać się" mało wybrednemu audytorium, ale to nie każdego zadawalało. Oryginalność i nowatorstwo są zawsze trudne i ci, którzy im hołdują, płacą wysoką cenę w postaci braku zrozumienia i popularności. Nie mniej stanowią one wyzwanie raz po raz podejmowane. Nie inaczej było z poetami londyńskimi, o których mowa. Zarówno ich niegodzenie się z zastanym, jak i brak pisarskiego doświadczenia i w rzeczy samej nikły dorobek oraz zbyt schematyczne określanie swojej postawy, sprawiły, że byli w swoim czasie celem ataków starszych pisarzy.

Potykał się z nimi solidnie w polszczyźnie osadzony **Zygmunt**

Nowakowski (1891-1963). Nie rozumiał rozterki młodych w wyborze języka. Pasował ich łaskawie na biegłych praktyków przewidując, jak się miało okazać, trafnie, że mimo odgrażania się, przy języku polskim pozostaną. Natomiast **Jan Rostworowski** (1919-1975), poeta popularny, którego lubiane wiersze zapełniały sale, zgłosił zasadniczy sprzeciw. Dla niego już sama myśl, samo podawanie w wątpliwość sensu tworzenia na uchodźstwie w języku polskim, było herezją. Jego schronienie się w mowie, którą znał znakomicie, było szczęśliwsze od sytuacji młodych, ciągle jeszcze terminatorów, których wabiły różne perspektywy i nęciły szanse na opanowanie bardziej przydatnego języka.

Jan Rostworowski był znacznie od Zygmunta Nowakowskiego młodszy i wiekiem i wykształceniem zbliżony do grupy młodych poetow. Nie dostrzegał jednak ich problemu, jaką była niezgoda na tematykę i formę pisarstwa starszych kolegów. Widział w niej po prostu chęć odejścia od człowieka, w tym wypadku od człowieka emigracyjnego i ochotę służenia sztuce dla sztuki. Dziwił się, że młodzi, którzy w lwiej części nie posiadali biografii wojennej, zainteresowani byli tematyką odmienną i przewrotnie lekceważyli symbole swoich ojców, którzy dopiero co wyszli, dotkliwie doświadczeni, z kataklizmu wojennego. Zawieszeni między niemożnością podążania wydeptaną ścieżką a dramatem przypisania do języka pozbawionego konkretów i rzeczywistosci, którą wyrażała, jasno widzieli swoja niepewną przyszłość. Chcieli

wyjść na pisarzy, mierzyli wcale wysoko nie mogąc liczyć na czytelnika, który im będzie towarzyszył, odrzucali równocześnie epigoństwo i twórczość okolicznościową, pisarską polonijność w sensie zamkniętych horyzontów, taryfy ulgowej i braku ambicji.

Rostworowski dostrzegał jedynie odżegnywanie się od losu grupy wychodźczej dla pustego hołdowania czystej twórczości. Dlatego przepowiadał „palec piszący na ścianie 'mane tekel fares' ich artystycznej porażki". Dziwiło go, że młodzi nie przewidywali sukcesów, że spodziewali się pustki. Sami ją wytworzyli i dlatego byli dla niego ludźmi osobliwymi, trochę z innej planety, ludźmi, którzy znaleźli się mimo woli w skomplikowanej sytuacji.

> Wolność mają. Wolność – że zapożyczę się u Miłosza – przed strachem zniewolonego umysłu. I to ich tu trzyma. Na jak długo? Trudno przewidzieć. Może dopóty, dopóki strach przed próżnią nie okaże się silniejszy niż strach przed zniewolonym umysłem.

Taki los przepowiadał wiele lat temu poeta wówczas mocno osadzony na emigracji, wzięty i celebrowany liryk. Czy później miał jakieś wątpliwości, co do swojej prognozy? Bo „strach przed próżnią" okazał się jednak słabszy. Młodzi, o których pisał tak namiętnie, postarzeli się na emigracji, za to Rostworowski wrócił do Polski. Wyroki przyszłości są niezbadane, ale prywatne

decyzje zasługują na szacunek. W cytowanym już artykule (Haracz wolności, *Tydzień Polski*, 11.03.1961) poeta krakowski pomówił nas ponadto, że uciszyliśmy w sobie „teologiczny dialog” i że przelewamy „z pustych serc w próżną formę”. Dlatego, zdaniem autora, z tym bagażem nie wnijdziemy do Królestwa.

Wyrokowanie o zbawieniu bliźniego jest czynnością pochopną. Chcę wierzyć, że także w tym wypadku nasz krytyk nie będzie miał ostatniego słowa.

Turystyka na wschód od RFN-u

W jaki sposób podział Europy przez „żelazną kurtynę” wpłynął na rozwój turystyki? Z jakimi zjawiskami mamy obecnie do czynienia w turystyce w Europie Środkowej i Wschodniej i jakie wyzwania przed nią stoją? To były główne tematy międzynarodowej konferencji na temat

dziedzictwa i perspektyw antropologii turystyki, jaka odbyła się na Uniwersytecie Jagiellońskim w 2015 roku. Rok temu amerykańskie wydawnictwo Rowman & Littlefield opublikowało zbiór wykładów z konferencji pod tytułem *„Antropology of Tourism in Central and Eastern Europe”*, który ukazał się pod redakcją *Sabiny Owsianowskiej* (adiunkt na Wydziale Turystyki I Rekreacji Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie, wykładowczyni na UJ) oraz *Magdaleny Banaszkiewicz* (adiunkt w Instytucie Studiów Międzynarodowych UJ i wykładowczyni w Akademii im. Andrzeja Frycza-Modrzewskiego w Krakowie).



Magdalena Banaszkiewicz

Jolanta Łada-Zielke:

Antropologia to nauka o człowieku. Czy jej poddyscyplina – antropologia turystyki – jest nowa?

Magdalena Banaszkiewicz:

Niezupełnie. Pierwszy raz pojęcie to pojawiło się na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. W trakcie zjazdu amerykańskiego towarzystwa antropologicznego zebrała się osobna grupa antropologów zainteresowanych turystyką, którzy wyjeżdżali w teren, aby badać zwyczaje dzikich, prymitywnych plemion i przy okazji spotykali się z turystami. Doszli do wniosku,

że zachowania ludzi na styku tych dwóch odrębnych kultur są interesujące i warto zacząć je badać.

Czy za polskiego prekursora tego kierunku możemy uznać Bronisława Malinowskiego, przyjaciela Witkacego, który badał zwyczaje plemion afrykańskich?

Tak. Malinowski prowadząc swój dziennik dał dowód na to, jak doświadczenie podróżowania wpisuje się w jego pracę naukową. On daje tu świadectwo o sobie nie tylko jako o badaczu, ale i jako podróżniku, czyli jest też właściwie turystą. Sama antropologia jako dyscyplina wyrosła na gruncie kolonializmu. Dzięki koloniom, antropolodzy jako badacze mogli jechać w teren, a struktury kolonialne gwarantowały im bezpieczne prowadzenie badań. Było to na początku lat dwudziestych XX wieku. Ale w tym samym czasie zaczęła się rozwijać turystyka, także w ramach imperiów kolonialnych. I te dwa nurty spotkały się ze sobą w latach siedemdziesiątych.

Polski tytuł zbioru wykładów z konferencji brzmi „Antropologia turystyki w Europie Środkowej i Wschodniej". Czy czterdziestoletni okres izolacji tej części Europy od Zachodu przez żelazną kurtynę pozostawił skutki w turystyce?

Pierwotnie książka miała nosić tytuł „Antropolgia turystyki po

upadku żelaznej kurtyny”. Ale nasi wydawcy stwierdzili, że byłoby to zbyt historyczne, mało marketingowe i dlatego skończyło się na Europie Środkowowschodniej, ze zwróceniem uwagi na wątek środkowoeuropejski. Książka ukazała się w wydawnictwie amerykańskim, dla którego wszystkie państwa na wschód od RFN należą do Europy Wschodniej. Wprowadzenie pojęcia „Europa Środkowa” też było poprzedzone długą korespondencją z wydawcami, których usiłowaliśmy przekonać, że taki region istnieje i ma własną tożsamość. W okresie komunizmu inna była sytuacja takich krajów jak Polska, Czechy, Bułgaria, Węgry, a inna w Związku Radzieckim, który miał własną politykę turystyczną. I te konsekwencje do dziś dnia są widoczne. Pokazuje to chociażby popularność wśród Polaków wybrzeża Adriatyckiego, np. Chorwacji, która też w jakiś sposób nawiązuje do nostalgii za czasami PRL-u. Wiąże się z tym pojęcie zwane „wyobraźnią turystyczną”, czyli wszelkimi uprzedzeniami, które sprawiają, że do niektórych miejsc jeździ się chętnie, a innych się unika. Tak jak kiedyś Związek Radziecki, tak dzisiaj Federacja Rosyjska, sprowadza się w wyobraźni turystycznej tylko do paru miejsc: Sankt Petersburg, Moskwa, ewentualnie Złoty Pierścień.

Ale jedna z anglojęzycznych wykładowczyń wybrała się w podróż kolejką transsyberyjską! Choć opisuje, jak z duszą na ramieniu przyjęła przekąskę od jednej z rosyjskich babuszek, które na peronach sprzedają pierożki własnej

roboty.

Pierożki nie posiadają, niestety, certyfikatu żywnościowego Unii Europejskiej, a babcie nie pieką ich w sterylnych warunkach. Ten przykład pokazuje, że podróżując, z jednej strony chcemy przełamywać bariery i doświadczać nowości, inności, a z drugiej mamy organiczenia kulturowe, które sprawiają, że tego czy innego nie zrobimy. Jedziemy dokądś z nastawieniem, że poznamy bliżej tamtejszą kulturę próbując lokalnych potraw, ale mamy tak zwane granice przyswajalności. Wiąże się z tym angielskie pojęcie „eatable" czyli „jadalne". Są ludzie, którzy nie zjedzą szarańczy, węża, lub surowej ryby. Ta granica kulturowa, dla jednych nieprzekraczalna, dla innych będzie ciekawym doświadczeniem, służącym przy okazji przełamywaniu własnych ograniczeń.

Oprócz wyżej wymienionej turystyki kulinarnej pojawiają się w książce takie pojęcia, jak turystyka wolontariacka, jeżeli wyjeżdżamy dokądś, aby demonstrować w obronie praw człowieka, albo ochrony środowiska. Wystarczy wspomnieć, ilu Polaków wzięło udział w Pomarańczowej Rewolucji na Ukrainie, na przełomie lat 2004-2005. Po powrocie do kraju te osoby nadal wspierają takie akcje, propagując je w internecie, szukając sponsorów. Istnieje też bardzo twórczy odłam zjawiska, turystyka kreatywna, np. wyjazd na warsztaty koronczarskie do Bobowej w

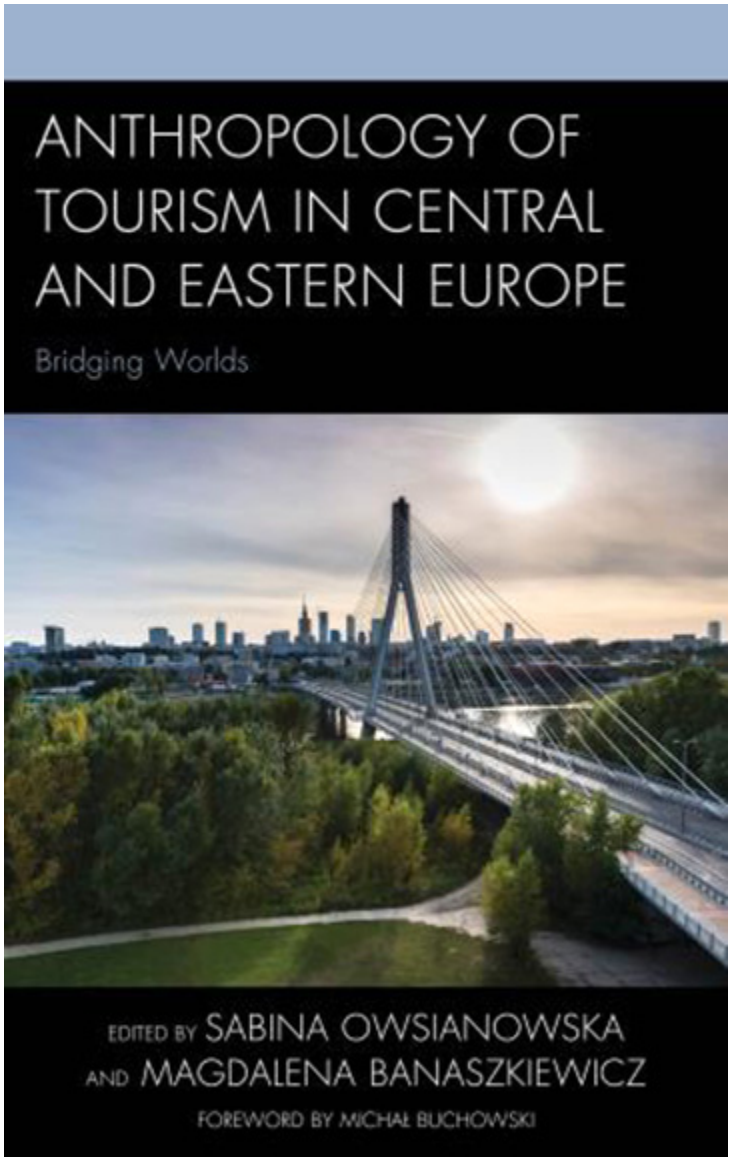
Nowosądeckiem, albo na zajęcia z garncarstwa do Medyni Głogowskiej koło Łańcuta.

Turystyka daje także szanse rozwoju środowisk lokalnych, pielęgnowania dziedzictwa kulturowego. Przykłady z Bobowej i z Medyni pokazują, że coś, co było zapomniane i uważane za niepotrzebne, zyskuje na wartości, kiedy przyjeżdżają turyści gotowi zapłacić za tę atrakcję. Wtedy też i miejscowi zaczynają patrzeć na to inaczej. Widać to właśnie na gruncie turystyki etnicznej. Oferta niektórych regionów ogranicza się tylko do tego, ale zarabiają na tym bardzo duże pieniądze, a jednocześnie wpływają na tożsamość kolejnych pokoleń.

Ale są i negatywne zjawiska w dzisiejszej turystyce.

Występują one głównie w Europie, w obrębie turystyki kulturowej. Nie musimy szukać daleko. W Krakowie obserwujemy zjawisko zwane „overtourismus", czyli „naddturystyka". W samym centrum miasta, w szczycie sezonu, nie spotkasz miejscowych, bo oni unikają tłumów wycieczek i hałasu. Po drugie, właściciele lokali tak podnoszą ceny, że mieszkańców po prostu na to nie stać. Po trzecie ceny mieszkań i czynsze w centrum miasta gwałtownie rosną, dlatego część Krakowian wyprowadziła się na peryferie. Inny negatywny przykład, to wizyty w Tatrzańskim Parku Narodowym, gdzie turyści jedzą, piją i zostawiają śmieci. Jeżeli robi tak dziesięć

osób, pozostaje to prawie niezauważalne. Jeżeli pięćset, ma to już swoje konsekwencje dla przyrody. Jednak stosuje się w niektórych krajach środki zaradcze. W Wenecji, która jest „ofiarą turystyki", wprowadzono dzienny limit turystów, którzy mogą wjechać do miasta. Mają też obowiązek zapłacić dzienny podatek turystyczny, który wynosi 10-15 dolarów dziennie. Istnieją więc różne formy regulowania nadmiernego ruchu turystycznego.



W jednym z tekstów podano przykład Bułgarii, dokąd przybywa mnóstwo amatorów plażowania, taniego alkoholu i łatwego seksu, czyli jest to, mówiąc po angielsku „alcotourism".

Na Zachodzie reklamuje się Bułgarię na *billboardach* właśnie jako kraj taniego alkoholu i rozrywek. Na pewno marketing turystyczny ma wpływ na to, kto odwiedza dany kraj. Tani produkt przyciąga określoną grupę klientów. Jeśli w Bułgarii ceny zostałyby podwyższone, część tych osób na pewno zrezygnowałaby z wyjazdu. Ale tak dzieje się nie tylko w Bułgarii. Generalnie możemy powiedzieć, że istnieje turystyka wypoczynkowa i rozrywkowa, sprowadzana do tzw. „trzech S": „sea, sun, sand", czyli „morze, słońce, piasek". Czasami dodawane jest do tego czwarte „s", czyli seks. I to jest typowa turystyka rekreacyjna, ograniczona do hotelu *all inclusive*, którego się nie opuszcza, bo można tam jeść i pić bez ograniczeń. Jest też turystyka kulturowa, „trzy E": „education, entertaiment, exciting", które oznaczają edukację, rozrywkę i zachwyt (podniecenie), ale w sensie intelektualnym. Im bardziej będziemy kierować ofertę w stronę „trzech E", tym bardziej zwiększamy szanse na równowagę w turystyce. Ale też nie wszyscy turyści, którzy zwiedzają, albo przyjeżdżają na koncerty muzyczne, zachowują się poprawnie. Stąd wynika duża rola edukacji w sektorze turystycznym.

Czy robi się coś konkretnego w tym kierunku?

Na Uniwersytecie Jagiellońskim mamy nową specjalizację „Relacje międzykulturowe w turystyce”. Chcemy, żeby nasi studenci nie tylko nauczyli się obsługi ruchu turystycznego, systemów rezerwacyjnych, układania programów i pilotowania wycieczek. Chcemy, żeby mieli świadomość odpowiedzialności, jaka na nich spoczywa, jako na przyszłych organizatorach turystyki. Uczymy ich etyki zawodowej, żeby podczas oprowadzania brali pod uwagę różnice kulturowe. Inaczej będzie mówiło się o dziedzictwie holokaustu do grupy polskich licealistów, inaczej do młodzieży z Izraela, a jeszcze inaczej dla turystów ze Stanów Zjednoczonych. Myślę, że turystów można obciążać tylko częściowo za te negatywne zjawiska. Jacy turyści przyjeżdżają i co robią, zależy w dużej mierze od poziomu rozwoju tej branży w danym kraju, no i w pewnym stopniu od mieszkańców, którzy na tym zarabiają. Jeżeli mieszkańcy pozwalają na takie czy inne zachowania, a nawet je popierają, to wszystko jest możliwe. Dajmy na to, ktoś prowadzi knajpę, albo *pub* i otwiera „happy hour” od godziny 22:00, w ramach której goście mogą pić na umór do rana za jedyne pięć funtów. Niech więc się potem nie dziwi, jak leżą przed wejściem we własnych wymiocinach. Przy takim szybkim zarobku zysk jest krótkotrwały, za to negatywne konsekwencje pozostają na dłużej.

Jak na tym tle wyglądają polscy turyści?

Różnie. Jeżeli spojrzy się na statystki, można dostrzec piętno „żelaznej kurtyny”. Sytuujemy się bliżej turystów z Europy Wschodniej, niż tych z Europy Zachodniej, którzy pewne procesy mają już za sobą. Aczkolwiek też są to uogólnienia, bo jeśli spojrzymy na Anglików, którzy jeszcze kilkanaście lat temu przyjeżdżali do Krakowa dla rozrywki, biegali goli i pijani po rynku, to nie możemy mówić o wyższości kultury anglosaskiej nad słowiańską. U nich są to pozostałości kolonializmu, przez co traktują wszędzie lokalną społeczność tak, jak traktowali ją konkwistatorzy w koloniach: my tu rządzimy, bo mamy pieniądze, a wy macie nam służyć. Oczywiście są to bardzo daleko idące stereotypy, ale jednak trochę zakorzenione w mentalności. Można to poznać po sposobie zwiedzania. Inaczej robi to turysta z Azji, inaczej przybysz ze Stanów, który przyjeżdża na Stary Kontynent, widzi budynek mający więcej niż pięćset lat i właściwie modli się do niego. A dla nas jest to tylko jeden z lokalnych kościołów.

Na temat Polski jako celu wycieczek, albo urlopów, też panują pewne stereotypy. Na przykład Niemców bardziej pociąga Rosja, bo widzą w niej coś egzotycznego. A Polska to dla nich taki kraj „pomiędzy” Wschodem a Zachodem. Dopiero jak przyjadą np. do Krakowa, otwierają oczy ze zdumienia i zachwytu.

Na ten temat również prowadzone są badania. Jedno z nich

pokazało, że Polska jest postrzegana jako kraj o bardzo bogatym dziedzictwie, dużej gościnności, ale nudny. Turyści nie wiedzą, jaka jest jednoznaczna toższamość Polski, która sytuuje się właśnie pomiędzy Wschodem a Zachodem. Na egzotykę Rosji wpływa po pierwsze fakt, że jest postsowiecka, czyli w pewnym sensie „barbarzyńska", a z drugiej strony nostalgia za czasami imperializmu carskiego. Trzeba też wziąć pod uwagę historyczne związki niemiecko-rosyjskie i eksport niemieckich księżniczek do tego kraju, co też „nakręca" wyobraźnię turystyczną. Z Rosją Niemcy liczą się do dziś w sensie politycznym i gospodarczym, tak jak jedno – nawet byłe – imperium liczy się z drugim. My jesteśmy ich sąsiadem, do którego nie pojedzie się w pierwszej kolejności. Zakładam, że jeśli Niemiec ma do wyboru Polskę lub Francję, wybiera tę drugą możliwość. A Franzuzi już właściwie od czasów wielkiej rewolucji 1789 roku inwestują w tworzenie wizerunku państwa, które potrafi wypracować sobie nowoczesność na gruncie tradycji. Natomiast nasz wizerunek to trochę kultury, trochę natury, sporo gościnności, skojarzenie z Solidarnością, papieżem Janem Pawłem II i Lechem Wałęsą. Kraków nie wyróżnia się na tle innych miast, które cieszą się dużą popularnością w Europie Środkowej, jak na przykład Praga czy Budapeszt. Dlatego powinniśmy prowadzić świadomą politykę turystyczną, która nie będzie ograniczać się do odfajkowywania kolejnych milionów turystów, którzy lądują na lotnisku w Balicach, bo to wcale nie przekłada się na ich jakość. To, że przylatują na jeden lub dwa dni i zostawiają pieniądze w

jakimś apartamencie należącym do sieci nieruchomości, albo w *pubie* czy restauracji, nie wpływa na nasz rozwój regionalny. Powinniśmy mieć turystów, którzy pójdą do muzeum, wezmą udział w jakiejś imprezie kulturalnej. Ale my nie mamy takiej imprezy, jak choćby festiwal muzyczny w Salzburgu, do którego nie trzeba nikogo zachęcać. Są też ludzie, którzy nie dostają biletów, ale i tak chcą być tam w momencie, kiedy to się będzie działo, bo a nuż spotkają kogoś sławnego na ulicy? Musimy zastanowić się, jak uatrakcyjnić naszą ofertę.

Dane na temat książki są dostępne pod linkiem:

https://rowman.com/isbn/9781498543811/anthropology-of-tourism-in-central-and-eastern-europe-bridging-worlds

Spektakl „Helena” Marty Ojrzyńskiej w Santa Monica

19 maja 2019 roku w Magicopolis Theater w Santa Monica w Kalifornii odbył się spektakl „HELENA”, napisany i zagrany przez aktorkę Teatru Starego w Krakowie 0 Martę Ojrzyńską. Organizatorem przedstawienia był Klub Kultury im. Heleny Modrzejewskiej.



Marta Ojrzyńska, jako Helena Modrzejewska, fot. Ignacy Żarski.

Marta Ojrzyńska:

Postacią Heleny Modrzejewskiej zainteresowałam się pracując w Teatrze Starym w Krakowie. Od 2005 roku jestem w zespole aktorskim. Niemal codziennie mijałam obraz Heleny Modrzejewskiej – kopię słynnego obrazu Tadeusza Ajdukiewicza, wiszący w foyer teatru. W 2015 roku przyjechałam do Los Angeles i tutaj spojrzałam na postać Modrzejewskiej z nowej perspektywy – perspektywy kobiety, która podobnie jak ja

przyjechała do Ameryki w poszukiwania nowego życia i nowych możliwości. Doceniłam jej ogromny talent, wielkie ambicje i ogromny dorobek artystyczny.

W tym roku zgłosiłam się do pani Maji Trochimczyk z Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej w Los Angeles, z propozycją przygotowania spektaklu o tej wielkiej artystce. Bardzo się ucieszyła, ustaliłyśmy datę premiery i miejsce, a ja rozpoczęłam prace nad pisaniem scenariusza i opracowaniem sztuki.

Było to duże wyzwanie, bo sama pisałam tekst, reżyserowałam i grałam. Po raz pierwszy pracowałam w ten sposób. Mam doświadczenie reżyserskie i dramaturgiczne, natomiast nigdy wcześniej nie zrobiłam monodramu. Bartosz Nalążek zrobił piekne video, które kręciliśmy na Hollywood Blv. i w domu Modrzejewskej w Arden. Był również reżyserem świateł. Sztuka jest napisana w języku polskim, tylko fragmenty sztuk z repertuaru Modrzejewskiej gram w języku angielskim.

Przedstawienie zostało bardzo dobrze odebrane. Jestem ogromnie szczęśliwa, że doszło do premiery w Teatrze Magicopolis w Santa Monica. Tam jest magiczna, bardzo piękna scena. Dziękuję Maji Trochimczyk za zaproszenie i wielkie wsparcie. To było wielkie wyzwanie i wspaniała przygoda.

Moim marzeniem jest teraz podróżowanie z tym spektaklem śladami Modjeskiej/Modrzejewskiej po Ameryce i Polsce.

Galeria



Marta Ojrzyńska, jako Helena Modrzejewska, fot. Ignacy Żarski.



Marta Ojrzyńska, jako Helena Modrzejewska, fot. Ignacy Żarski.



Marta Ojrzyńska, jako Helena Modrzejewska, fot. Ignacy Żarski.



Marta Ojrzyńska, jako Helena Modrzejewska, fot. Ignacy Żarski.



Kadr z video, fot. Bartosz Nalążek.



Kadr z video, fot. Bartosz Nalążek.



O Marcie Ojrzyńskiej i spektaklu „Helena” w magazynie „Culture Avenue”:

https://www.cultureave.com/helena-prapremiera-sztuki-marty-ojrzynskiej-o-helenie-modrzejewskiej-w-kalifornii/

Nocny karnawał kultury czyli szesnasta Noc Muzeów.



Muzeum Ziemi, fot. Marek Wierzbicki.

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

Noc Muzeów, której szesnasta już edycja odbyła się 18 maja 2019 r. w całej Polsce, poddała nas swego rodzaju terapii świadomości ukazując, jak ważna jest kultura i sztuka w naszym życiu. Przepełnione stadiony futbolowe i hektolitry wypitego piwa starają się nas przekonać, że wszyscy potrzebują tylko „chleba i igrzysk”- masowych spotkań podsycających instynkt walki i zabawy, gdy tymczasem Noce Muzeów dowodzą tkwiącej w ludziach potrzeby spotkania z kulturą. Ulicami Warszawy, 18 maja, szły tłumy ludzi w różne strony – pielgrzymi sztuki. 260 placówek – instytucje muzealne, galerie, instytucje naukowe i rządowe, teatry, kościoły, specjalistyczne fabryki i archiwa, otworzyły swoje podwoje, organizując różnego rodzaju atrakcje

dla odwiedzających.

Dzisiejsza kultura jest droga i jak wszystko, w naszym zmaterializowanym świecie, stała się towarem, stąd rodzinne wyjście z dziećmi jest poważnym wydatkiem w budżecie. Jednak potrzeba przeżycia, poznania, inspiracji sztuką jest nieustannie silna, czego dowodzi rosnąca frekwencja Nocy Muzeów, w której biorą udział ludzie w różnym wieku z rodzinami z dziećmi na czele i ta wyjątkowa noc stwarza szansę zanurzenia się w przebogatej ofercie kulturalnej.

Pierwszym miastem, które wpadło na pomysł Nocy Muzeów był Berlin. W 1997 roku zaproszono wszystkich chętnych do bezpłatnego zwiedzania berlińskich muzeów. Pomysł ten przyjął się od razu i już w następnym roku Paryż udostępnił na jedną noc swoje muzea. W Polsce pierwsza Noc Muzeów zorganizowana została w 2003 roku – uczestniczyło w niej 11 muzeów. Od tego czasu, rokrocznie, coraz więcej instytucji przystępuje do tej inicjatywy. W 2018 roku udostępniono w całej Polsce 200 placówek, a w tym roku 260. Rośnie liczba otwartych miejsc i rośnie liczba uczestników Nocy Muzeów, a serce moje rośnie z radości, gdyż ciągle wierzę, że kontakt z kulturą i sztuką uszlachetnia. Może nie przerabia nas – zjadaczy chleba w anioły, jak romantycznie marzył Juliusz Słowacki, ale porusza nas, uwzniośla, pobudza emocjonalnie i intelektualnie.



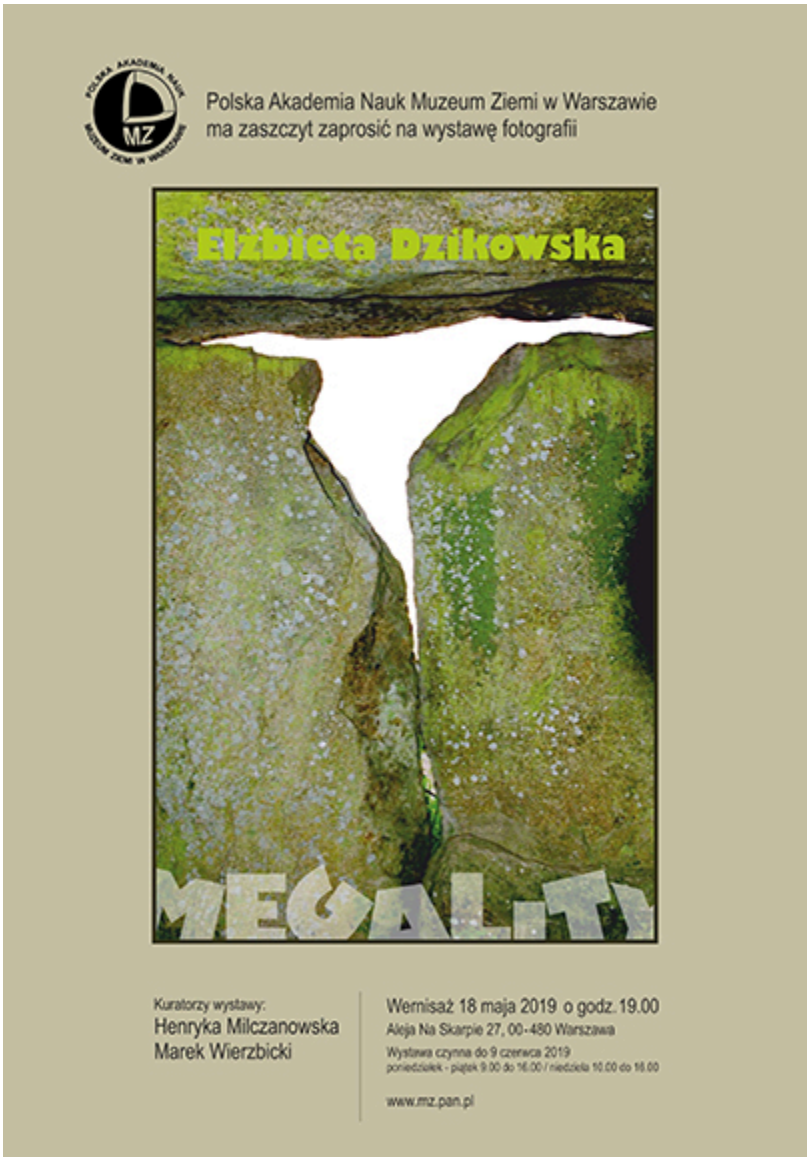
Elżbieta Dzikowska (z lewej) i rzeźbiarka Beata Czapska podczas Nocy Muzeów w Muzeum Ziemi, fot, Marek Wierzbicki.



Od lewej: Elżbieta Dzikowska, dr Cezary Krawczyński, dyrektor Muzeum Ziemi, Henryka Milczanowska, kurator, fot. Marek Wierzbicki.

Moja trasa tegorocznej Nocy Muzeów w Warszawie nakreślona została w wyniku walki z samą sobą, bowiem chciałam, a nie mogłam skorzystać ze wszystkich interesujących mnie zaproszeń – nie mogłam być w kilku miejscach jednocześnie. Wieczór rozpoczęłam od wernisażu fotografii Elżbiety Dzikowskiej w Muzeum Ziemi. Specjalnie na tą okazję znana dziennikarka, podróżniczka i fotograf pokazała zbiór zdjęć megalitów – niezwykłych w swej potężnej skali wotywnych kamieni. Megality są dziełem natury i człowieka, który tworząc z nich tajemnicze budowle, kręgi, aleje, dowodził swojej wiary i siły. Sercem megalitycznej kultury jest region Bretanii – Carnac, Stonehenge

w Anglii, znajdziemy je w Portugalii, w Polsce – w Górach Świętokrzyskich, na Pomorzu i Kujawach.



Następnym punktem na mojej mapie było Muzeum Narodowe, gdzie otworzono dwie nowe wystawy: „Arcydzieła Augusta Zamoyskiego” i „Leonardo – Opera Omnia”- wystawa zdjęć arcydzieł malarskich z okazji 500- lecia śmierci Leonarda da

Vinci. August Zamoyski (1893- 1970) tworzył przez ponad pół wieku – przez 30 lat we Francji, a wcześniej, przez 15 lat w Brazylii, dokąd wyemigrował w czasie drugiej wojny światowej. Rzeźbiarz tworzył w różnych materiałach – wiele prac powstało w marmurze, granicie, diorycie, w gipsie, glinie, drewnie. Kolekcja Augusta Zamoyskiego zakupiona została w 2019 roku dla Muzeum Narodowego w Warszawie: obok rzeźb znajdują się w niej rysunki, szkice, prace uczniów i narzędzia rzeźbiarskie. Elementami scenografii wystawy, urządzonej jako *atelier* artysty są skrzynie, w których transportowano rzeźby z Francji do Polski.

Kolejnym punktem programu było odwiedzenie Pałacu Staszica na Krakowskim Przedmieściu, gdzie znajduje się Polska Akademia Nauk. Zazwyczaj zamknięty obiekt, przeznaczony do celów naukowych i konferencyjnych, tej niezwykłej nocy otwarty był na oścież. Pracownicy naukowi przygotowali imponującą ofertę. Kilka pokoi przeznaczonych było na „Gry i Zabawy" dla małych i dużych, na stołach rozłożone były gry z odległych zakątków świata. Dzieci mogły malować i rysować pod okiem instruktorów. W dużej sali przygotowano wystawę „Nieistniejące pejzaże Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej". Tematem ekspozycji stały się zdjęcia wykonane w latach 1942-1943 przez brytyjskich żołnierzy *Royal Air Force*, stacjonujących w Libii, Egipcie, Izraelu, Libanie, Syrii, Iraku. Nie ma już tych pejzaży, pomników architektury, codziennego życia autochtonów, które

wtedy przypominało odległe epoki – pozostała pamięć zatrzymana na fotografiach. W wielkiej Sali Pałacu Staszica odbywał się pokaz mody przedwojennej, w innej części prezentowano autografy noblistów z archiwum PAN i wystawę „Utracony świat. Podróże Leona Barszczewskiego po XIX-wiecznej Azji Środkowej" oraz wystawę „Wspomnienie o generale Józefie Hallerze". Oferta PAN była tak bogata i interesująca, że można było pozostać w Pałacu Staszica całą noc.



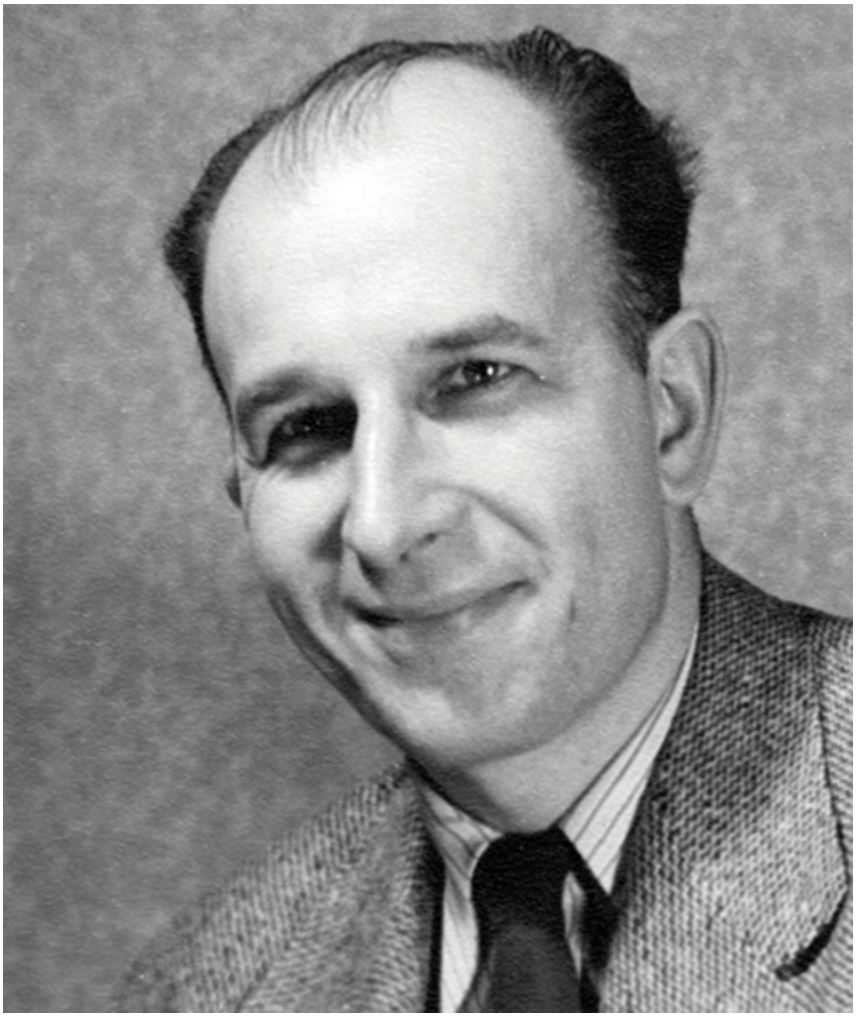
Koncert w Kościele Świętej Trójcy, fot. Katarzyna Szrodt.

Moją nocną przygodę z polską kulturą i sztuką, za którymi zawsze tęsknię na emigracji, zakończyłam w Kościele Świętej Trójcy na Placu Małachowskiego, słuchając koncertu muzyki Chopina w znakomitym wykonaniu Przemysława Lachowskiego. Dźwięki nokturnów, mazurków, fantazji wypełniały doskonale harmonijną, białą, klasycystyczną kopułę świątyni ewangelicko-augsburskiej projektu Szymona Zuga, architekta Stanisława Augusta. Nie było innego miejsca na ziemi, w którym w tej chwili

chciałabym być. Poprzez uczestniczenie w wydarzeniach kulturalnych, przeżywając dzieło sztuki czy utwór muzyczny, odsyłani jesteśmy do czegoś poza sobą, czegoś wyższego i nieprzemijającego, co czyni nasze życie głębszym.

> …bo naprawdę figury wyznaczają nam miary
>
> I małym krokiem idą zegary
>
> obok naszego prawdziwego dnia
>
> **R.M.Rilke/ Sonety do Orfeusza/Sonet XII**

Poezja na emigracji



Aleksander Jana Połczyński, źródło: kulturadostepna.pl

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Aleksander Janta Połczyński (1908-1974) prowadzil w Nowym Jorku antykwariat druków słowiańskich wraz z Aleksandrem Hertzem (1895-1983). Zobaczywszy na ich półkach antologię "Opisanie z pamięci", wybór wierszy młodych londyńskich poetów emigracyjnych, spytałem o cenę. Dziesięć dolarów wydało mi się ceną zbyt wygórowaną. – To niech mi pan dostarczy egzemplarzy – ciągnął niespeszony Janta.

Antologia została sporządzona i wydana w czasie chwilowej odwilży w Polsce. Po ukazaniu się, zamiast w sprzedaży wylądowała w piwnicach Domu Książki. Kilka lat później odwiedzałem Katowice, kiedy akurat w “przecenie” pojawiła się nieszczęsna antologia. Nabyłem wszystkie 40 egzemplarzy na składzie i przewiozłem do Kanady. Posłałem sygnał do Nowego Jorku. Janta oferował już skromniejszą cenę, ale zakupił dziesięć sztuk, a ja za te dwadzieścia pięć dolarów przywiozłem sobie ze Stanów mały aparat radiowy, który dotąd działa.

***



Marian Czuchnowski, źródło: oficyna21.pl

Kontrowersyjnego między wojnami poetę **Mariana Czuchnowskiego** (1909-1991) nieraz spotykałem w Londynie w drukarni "Oficyna Poetów i Malarzy" Czesława i Krystyny Bednarczyków pod przęsłem mostu kolejowego Waterloo. Zatrudniali go do falcowania i innych prac związanych z produkcją czasopism i książek. Nieśmiały i przygaszony, zagubiony i zapracowany nie skarżył się na ciężki los robotnika w obcym kraju. Dla młodszych od siebie był człowiekiem bez przeszłości, nie znaliśmy jego literackich sukcesów i nie czytaliśmy najlepszych utworów. Tylko po łebkach

dowiedzieliśmy się o jego młodzieńczym radykalizmie, a potem o ciężkich przejściach w czasie zsyłki do ZSRR, gdzie stracił swoje iluzje raz na zawsze. Z armią Andersa przeszedł na Bliski Wschód.

Był podwójnie wyobcowany: z dawnych przekonań politycznych i ze środowiska awangardzistów. Postradał wiarę w wyznawaną dotąd ideologię będąc świadkiem inferna sowieckiego. Potem odrzucił kuszenie uprzywilejowanych towarzyszy wśród których mógł był zostać dygnitarzem w PRLu i pędzić dostatnie życie, ale wybrał mizerię emigracyjnego tułactwa i ubóstwo. Los nie szczędził mu osobistych tragedii. Opowiadał mi kiedyś w drukarni jak opiekował się umierającym ojcem i podawał mu uśmierzającą ból morfinę. Chętnie i szczodrze służył swoimi tekstami naszemu pismu sympatyzując z młodym idealizmem.

***

W czytelni British Museum w Londynie poznałem **Jana Rembielińskiego**, międzywojennego redaktora i prezesa Młodzieży Wszechpolskiej, a z zamiłowania historyka. Siedział nad pismami Długosza. Chodziłem z nim na niedrogie obiady do restauracji Lyonsa. Delektował się starymi słowami takimi jak "skotopaski" zamiast sielanki czy bukoliki, które akurat tłumaczyłem z łaciny Wergiliusza. Mówił mi z upodobaniem o Polsce piastowskiej (wyszedł tylko pierwszy tom jego „Historii

Polski. Średniowiecze” w 1948 roku) i wczesnej monecie na której było słowo “miłość”.